

Zajdziński, Tadeusz

Przez bolszewicki kraj – pod Monte Cassino : w Armii Polskiej na Wschodzie

Biezuńskie Zeszyty Historyczne 16, 98-103

1999

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

miętałem, bo samochody, którymi jechaliśmy były kryte ijechały prze-
ważnie nocą. Postanowiłem jednak dostać się tam jak najprędzej. Zebra-
łem grupę tych, którzy wydawali mi się pewni i zwialiśmy z roboty, nie
czekając na dalszy rozwój wypadków.

Do Starobielska mogło być około 300 kilometrów, może nawet dalej.
Należało udać się na południowy-zachód. Zdobyłem mapkę z gazety i od
różnych ludzi zebrałem wiadomości o trasie. Ruszyliśmy w drogę. Pierw-
szej nocy przeszliśmy dużo, chcieliśmy bowiem odskoczyć jak najdalej,
a poza tym częściowo znany nam był ten odcinek drogi – w związku
z pracą poruszaliśmy się nieraz w pobliskim terenie. Najcenniejsze infor-
macje o trasie zdobyliśmy od kierowców ciężarówek. Szliśmy około dwóch
tygodni, pokonując wiele przeszkód. Unikaliśmy wiosek i większych osie-
dli. Mieliśmy co prawda nabierane trochę prowiantu w obozie, ale to nie
wystarczyło. Wybieraliśmy więc zabudowania na uboczu, gdzie nie było
możliwości zaalarmowania radzieckich posterunków. Nie zawsze ludzie,
których spotykaliśmy byli nam przychylni. Przez duże miasta przechodzi-
liśmy korzystając z zamieszania, jakie tam zwykle panowało. Legitymują-
cym nas oświadczaaliśmy, że idziemy do polskiego wojska i to pomagało.
Nigdzie nie zostaliśmy na dłużej zatrzymani. Były jednak okoliczności, kie-
dy musieliśmy oświadczać, że idziemy wcielić się do Czerwonej Armii.

Do Starobielska dotarliśmy skrajnie zmęczeni z poobcieranymi noga-
mi, głodni, zarośnięci i brudni, ale radośni – polska armia była tuż-tuż.

W Armii Polskiej na Wschodzie.

Przy bramie na warcie obozu w Starobielsku stał radziecki “bojce”,
którego znałem z poprzedniego pobytu. Przeżywaaliśmy go “Ignac”, a on
się strasznie złościł z tego powodu, bo nie wiedział co to znaczy. Mimo to
zawołałem odruchowo na powitanie: “Ignac”! a on nie obraził się, roze-
śmiał się i powiedział, że teraz już nie pilnuje Polaków, tylko stoi dla por-
ządku. Spotkanie z tym wartownikiem było prawie serdeczne. Było tu już
bardzo dużo naszego wojska. 15 baraków, Duża i Mała Cerkiew były peł-
ne. Stale przybywali nowi. Zapewne było 10 000 ludzi, a może i więcej.
Na dziedzińcu panował taki tłok, że trudno się precyzyjnie odchodziły już
pierwsze transporty na wschód.

Zostałem zarejestrowany, tym razem przez naszych funkcyjnych polskich podoficerów. Personalia podałem również nieprawdziwe. Przez kilka dni i ja brałem udział w rejestrowaniu przybywających żołnierzy. Na arkusze papieru wpisywało się imię, nazwisko, nr porządkowy, datę urodzenia, stopień wojskowy, narodowość, dotychczasowy przydział wojskowy i adres zamieszkania w Polsce. W 99% rejestrowali się polscy żołnierze, którzy brali udział w wojnie we wrześniu, w większości ubrani jeszcze w mundury polskie, mniej lub bardziej zniszczone. Wspomniałem, że sam zarejestrowałem się pod przybranym nazwiskiem – podałem, że jestem podchorążym, ale nie przyznałem się do stopnia. Brakowało jeszcze całkowitej pewności, co z nami będzie. Wśród naszych było bardzo dużo radzieckiej “szarży”, którą przysłano tutaj do współpracy, wspólnego organizowania naszych oddziałów, transportu, wyżywienia i oczywiście szpiclowania.

Transporty ze Starobielska odjeżdżały do Tockoje, około 150 km za Wołgę. Postarałem się wyjechać jednym z pierwszych. Tockoje, był to obóz – poligon artyleryjski, jak na sowietów nawet dobrze urządzony i skanalizowany. Co prawda był to poligon letni. Większość z nas wróciła tu do swoich nazwisk. Niektórzy ujawnili się dopiero w Iraku. Zaczęła się organizacja wojska wg wzoru radzieckiego, ponieważ mieliśmy walczyć w składzie armii radzieckiej. Cieszyliśmy się wszyscy z tego, widząc bliską drogę do Polski. Jednak od początku sprawy potoczyły się inaczej. Nie dostaliśmy ani umundurowania, ani uzbrojenia takiego, jakie powinno dostać wojsko, a szczególnie po przeszło dwuletniej przerwie przeżytej w tak trudnych warunkach.

W obozach mieliśmy ciężkie życie, bardzo złe wyżywienie, a robotę, ogólnie biorąc podłą. W Tockoje warunki mieszkaniowe nie różniły się od warunków w dotychczasowych obozach pracy. Byliśmy zawszeni i zapluskwieni. Zaczęły grasować choroby. Ludzie podtrzymywali się nadzieją i radością, byli przecież w formującej się polskiej armii, ale wycieńczone organizmy często nie wytrzymały i wielu żołnierzy umierało. Bardzo dużo ludzi zostało na cmentarzach w Tockoje i sąsiednich obozach wojskowych.

Wrzesień i częściowo październik były piękne, a w listopadzie przyszedł mróz. Rzeka Samara, dopływ Wołgi, zamarzała. Pod koniec miesiąca spadły obfite śniegi a temperatura obniżyła się do minus 30° Celsjusza.

Codziennie chodziliśmy na ćwiczenia. Paliliśmy się do strzelania, do wojowania, a ponieważ prawdziwej broni brakowało, bawiliśmy się jak dzieci – z drewna strugaliśmy karabiny i działka przeciwpancerne na kołach i z wszelkimi detalami, byle ćwiczyć!! Mróz potężniał. Z cegły klinkowej, którą wyłożone były obozowe uliczki, pobudowaliśmy kuchenki (piecyki). Były one w każdym namiocie, które przed nadejściem zimy pieczołowicie okopaliśmy, ale pod brezentem przy takich mrozach jest naprawdę trudno przeżyć wycieńczonemu organizmowi. Spaliliśmy szybko niewielkie zapasy drewna i gałęzi, jakie były na placu i zaczęliśmy wycinać las, który widniał w dali. Las był duży – kilkadziesiąt hektarów, grabowo-dębowy, ale odległość wynosiła kilka kilometrów, a nie mieliśmy żadnego wozu ani konia. Mieszkańcy każdego namiotu (co najmniej sześciu żołnierzy) przynosili opał z lasu i składowali go obok. W chwilach wolnych od zajęć służbowych drewno to było rąbane. Początkowo brakowało siekier i pił, tak że szczypaliśmy drewno nożami. Szybko jednak znaleźliśmy odpowiedni sprzęt, mimo że nie mieliśmy na to urzędowego przydziału. Palić trzeba było dzień i noc. Te słynne pałatki o pojedynczym płótnie nie tylko nie chroniły od mrozów, ale były przemakalne. Pod koniec grudnia i na początku stycznia mrozy dochodziły do minus 50 stopni Celsjusza. Nie wiem, jak to przeżyliśmy, co prawda nie wszyscy. Śmiertelność była tak duża, że dowództwo nasze i wspomagający nas Rosjanie widzieli ratunek w przeniesieniu wojska w cieplejsze okolice. W przeciwnym razie armii polskiej, która jeszcze de facto armią nie była, groziła zagłada. W naszym Tockoje formowała się 6. Dywizja. Była podzielona na pułki, bataliony i kompanie. Dowódcą dywizji, bardzo krótko, był gen. brygady Wołkowyski – starszerek, który dawniej służył w armii carskiej, prawdopodobnie w marynarce wojennej i na dowódcę w ogóle się już nie nadawał. Szybko więc na jego miejsce został mianowany gen. brygady Michał Karaszewicz-Tokarzewski. Dowódcą mojego 18 pułku był ppłk. Jan Lachowicz.

W początkach grudnia 1941 r. przeżyliśmy w Tockoje pierwszą wizytę gen. Sikorskiego. Śnieg był wtedy duży i bardzo silne mrozy. Wszyscy przyjechali saniami. Przybyli najwyżsi polscy dostojnicy wojskowi, byli też obecni dygnitarze rządu radzieckiego: Prezes Rady Najwyższej ZSRR – Kalinin, Mołotow, Kaganowicz, Woroszyłow i wielu innych. Stalina nie było. Przyjechało również kilku oficerów angielskich. Cała ta świta wyno-



Fot. 17. W Tockoje, 1941 r.



Fot. 18. W Tockoje, 1941 r.

siła chyba kilkadziesiąt osób. Byli nasi generałowie: Władysław Anders, Michał Tokarzewski, Kazimierz Wiśniowski, wielu pułkowników – cały, ogromny sztab. Przemawiał gen. Sikorski. Mówił o dobrych stosunkach, jakie się nawiązały ze Związkiem Radzieckim, mówił o angielskiej pomocy, o tym, że statki docierają do Murmańska i przywożą mundury i sprzęt, który pociągami dociera do naszych obozów. Faktycznie, otrzymaliśmy częściowo angielskie umundurowanie, kawę, herbatę, czekoladę, nie tylko dla nas, ale i dla radzieckich towarzyszy. Podziwiali oni jakie to paczki, jakie opakowania, jakie cuda są na tym zachodzie. Przed gen. Sikorskim defilowaliśmy w nowych mundurach. Wojsko wyglądało ślicznie. Maszerowaliśmy z takim wigorem, jakby to było dopiero po przysiędze. Wszyscy nie mogli się nadziwić, skąd się bierze ta postawa, ten twardego żołnierski krok. Żołnierz, choć nie miał broni, czuł się już żołnierzem, kiedy przywdział prawdziwy mundur, buty, czapkę, no i defilował przed swoim Naczelnym Wodzem, to była rozkosz, to był wielki honor! Chorzy, którzy nie mogli brać udziału w tej paradzie, czuli się pokrzywdzeni.



Fot. 19. Uzbekistan, 1942 r. Uprawa pól ryżowych.

Postanowiono przenieść nas do Uzbekistanu. Gdzieś na początku lutego (może w końcu stycznia) nasz pułk został ewakuowany. Około 15 lutego byliśmy już w Uzbekistanie w Czirakczu. Wyładowaliśmy się na stacji kolejowej Jakobiak, odległej o 12 km od obozu w Czirakczu. Namioty mieliśmy tam już przygotowane, ponieważ oddziały kwatermistrzowskie przyjechały wcześniej. Było ciepło, a nam się wydawało, że jest gorąco. Kiedy wyjeżdżaliśmy z Tockoje było około 40° C mrozu. Tutaj – w nocy nieco powyżej zera, a we dnie kilkanaście stopni ciepła i pięknie świeciło słońce. Byliśmy bardzo brudni, zakopceni – w transporcie wody brakowało. Butelka wody musiała wystarczyć do picia i mycia przez cały dzień. Nie zawsze jednak pociąg przystawał na stacji. Nieraz pędził bez zatrzymania jedną i dwie doby. Nic więc dziwnego, że kiedy zobaczyliśmy wodę w kanałach nawadniających, jakie są w Uzbekistanie, porzobiliśmy się do naga i poszliśmy się wykapać. Uzbeki patrzyli z daleka, jak na zjawy z innej planety. W ogóle to wyglądaliśmy i zachowywaliśmy się jak półdzicy. Chodziliśmy bez płaszczy, wszystko nas cieszyło, a do głowy przychodziły nam różne bziki. Teraz to już naprawdę czuliśmy się ocaleni i wstąpił w nas duch żołnierza, mimo że żywności nadal brakowało. Tak naprawdę, to woda w kanałach była jeszcze zimna, ale po tej kąpieli, o dziwo, nikt się nie przeziębził. Po kilku dniach, kiedy przyzwyczailiśmy się do klimatu, powróciliśmy do płaszczy, i nie wykopaliliśmy się więcej. W nocy zdarzały się przymrozki. W namiotach, pod kocami było jednak wystarczająco ciepło.

Życie w Uzbekistanie początkowo układało się dobrze, z każdym dniem było cieplej. Nadchodziła wiosna, a z nią pora deszczów, które padały prawie bez przerwy. Trawa rosła momentalnie, różne gady, płazy i owady powychodziły z nor. Były węże jadowite, pająki i skorpiony, które potrafiły ukąsić śmiertelnie. Zostaliśmy przeszkoleni: przed pójściem spać każdy żołnierz musiał dokładnie przejrzeć swoje łóżko, strzepać koc, żeby nie położyć się na skorpionie, który przygnieciony może ukąsić śmiertelnie. Komary rozmnożyły się momentalnie i cięży niemiłosiernie. Po kilku tygodniach trawa była równa z człowiekiem, a w niej widliszki – stadami. Rozwinęła się malaria i chorowało na nią około 80% wojska. Malaria wyniszczała organizmy, które nie zdążyły się jeszcze zregenerować. Znów śmierć zaczęła zaglądać do naszych namiotów. Leczone nas chininą i jeszcze jakimiś tabletkami, których nazwy nie pamiętam. Staliśmy się niezdolni do szkolenia i do ćwiczeń. Nie mieliśmy nadal żadnej broni.